

Kod istnienia

(Dokończenie ze strony 15)

„skruszonym murem obojętności”. To definicje radykalne, ale trafne: poezja nie ma już funkcji dekoracyjnej ani nawet wyłącznie estetycznej. Jest aktem oporu wobec banalizacji świata, próbą przywrócenia intensywności doświadczenia.

Ważnym aspektem tomu jest także jego autotematyczność i autoironia. Podmiot wielokrotnie podważa własną rolę jako poety, ironizuje na temat wartości swojej twórczości („tomy do zabijania komarów”), pokazuje jej marginalizację. Ale ta ironia nie prowadzi do rezygnacji – przeciwnie, staje się formą obrony. To ironia człowieka, który wie, że jego głos może być niesłyszalny, ale mimo to mówi. W warstwie językowej „Zero jeden zero” jest książką niezwykle świadomą. Walter operuje szerokim rejestrem środków: od prostych, niemal potocznych zdań po gęste, metaforyczne konstrukcje. Jego język jest dynamiczny, nieustannie się zmienia, jakby sam podlegał temu samemu procesowi rozpadu i rekonstrukcji, który opisuje. To język, który nie daje się ustabilizować – i właśnie w tym tkwi jego siła. Tytuł tomu można odczytać jako symbol epoki cyfrowej, ale także jako metaforę ontologiczną. „Zero” i „jeden” to podstawowe jednostki kodu, ale też znaki obecności i nieobecności. Człowiek w świecie Waltera oscyluje między nimi: jest i go nie ma, istnieje i zanika, mówi i milczy. To istnienie binarne, pozbawione ciągłości, rozbite na fragmenty. Ostatecznie „Zero jeden zero” jawi się jako książka o niemożliwości ostatecznego rozstrzygnięcia. Nie ma tu syntezy, nie ma zamknięcia. Jest ciągłe „przedostatnie” – stan zawieszenia, który nie prowadzi ani do końca, ani do początku. I może właśnie w tym tkwi jej największa prawda: w uznaniu, że życie – podobnie jak poezja – nie daje się domknąć. To poezja, która nie pociesza, ale też nie pozostawia obojętnym. Zmusza do myślenia, do konfrontacji, do zadawania pytań, na które nie ma łatwych odpowiedzi. A w świecie, który coraz częściej oferuje gotowe rozwiązania i uproszczone narracje, jest to wartość nie do przecenienia.

A jednak to właśnie czyni tę książkę tak ważną. „Zero jeden zero” nie tylko opisuje kondycję współczesnego człowieka – ono ją współtworzy i nazywa z odwagą rzadko spotykaną w dzisiejszej literaturze. To tom, który staje się świadectwem epoki zagubionej w nadmiarze znaczeń i jednocześnie głodnej sensu. Jego znaczenie polega na tym, że nie oferuje ucieczki ani pocieszenia, lecz zmusza do myślenia, do konfrontacji z własnym doświadczeniem, do zadania sobie najtrudniejszych pytań. W świecie uproszczeń i gotowych odpowiedzi książka „Zero jeden zero” okazuje się głosem koniecznym – jednym z tych, które nie pozwalają nam zapomnieć, że życie, język i prawda są sprawami ostatecznie poważnymi.

Andrzej Dębowski

Andrzej Dębowski

Potop, który miał nas zalać, a tylko ochlapał – czyli jak teatr telewizji sam się utopił

Bardzo często zdarza się, że człowiek przestaje się złościć, a zaczyna się śmiać. I to nie jest śmiech zdrowy, tylko taki, który pojawia się wtedy, gdy coś, co miało być poważne, zamienia się w karykaturę samego siebie. Ostatnia inscenizacja „Potopu” w Teatrze Telewizji jest właśnie takim momentem – spektaklem, który nie tyle reinterpretował Sienkiewicza, ile zrobił z niego widowisko przypominające imprezę tematyczną, na której nikt już nie pamięta, po co właściwie się spotkano. Bo jeśli ktoś jeszcze ludzi się, że Teatr Telewizji jest miejscem, gdzie klasyka traktowana jest z jakimkolwiek respektem, to teraz powinien już porzucić te złudzenia raz na zawsze. Oto bowiem dostaliśmy „Potop”, który nie jest ani „Potopem”, ani teatrem, ani nawet sensowną prowokacją. To raczej zlepek pomysłów, które ktoś wrzucił do jednego worka, potrząsnął i wysypał na scenę, licząc, że chaos zostanie pomylony z odwagą artystyczną.

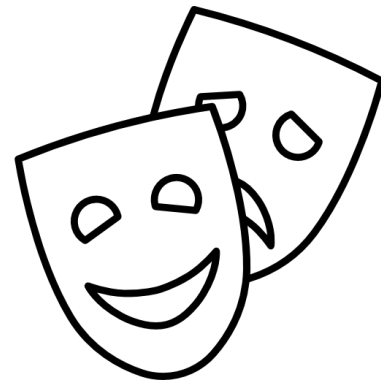


Rys. Sławomir Łuczyński

Kmicic? Owszem, jest. Ale bardziej przypomina figurę z mema niż bohatera tragicznego. Oleńka? Gdzieś się przewija, jakby przypadkiem, jak statystka we własnej historii. XVII wiek? Oczywiście – pod warunkiem, że nie przeszkadza w tym, by za chwilę wjechała współczesność z całym swoim

popkulturowym bałaganem. Muzyka, która równie dobrze mogłaby lecieć w klubie o trzeciej nad ranem, sceny balansujące między kabaretem a groteską, i to wszystko podane z miną śmiertelnie poważną, jakbyśmy mieli do czynienia z czymś przełomowym...

Nie, nie mamy. Mamy za to przykład dość rozpaczliwej próby udowodnienia, że klasykę trzeba „odświeżyć”, bo inaczej widz ucieknie. Tylko że w tej pogoni za widzem zgubiono wszystko to, co miało jakąkolwiek wartość. Zamiast opowieści o zdradzie, winie, odkupieniu i lojalności dostaliśmy festiwal efektów, który z tymi pojęciami nie ma już wiele wspólnego. Zamiast emocji – fajerwerki. Zamiast sensu – hałas. Najzabawniejsze jest jednak to, że ten cały spektakl zdaje się być przekonany o własnej wielkości. To nie jest ironia, która wie, że jest ironią. To jest ironia, która uważa się za nową formę powagi. A to już jest poziom samoświadomości godny raczej kabaretu niż teatru aspirującego do miana instytucji kultury. Bo tu nie chodzi o to, że nie wolno reinterpretować klasyki. Oczywiście, że wolno. Problem zaczyna się wtedy, gdy reinterpretacja staje się pretekstem do jej rozmontowania i zastąpienia czymś, co nie ma ani ciężaru, ani znaczenia, ani nawet konsekwencji. To już nie jest dialog z tradycją. To jest jej zagłuszenie.



Teatr Telewizji przez lata był miejscem, gdzie słowo miało wagę, a aktor był kimś więcej niż elementem scenicznej układanki. Dziś coraz częściej przypomina laboratorium, w którym testuje się, ile jeszcze można rozciągnąć sens, zanim widz przestanie go w ogóle dostrzegać. I wygląda na to, że granica została właśnie przekroczona. „Potop” miał kiedyś zalewać serca, poruszać sumienia i budować wyobraźnię. Ten „Potop” co najwyżej ochlapuje widza przypadkowymi pomysłami, po czym zostawia go z poczuciem, że uczestniczył w czymś jednocześnie głośnym i pustym. To nie jest nowoczesność. To jest bezradność przebrana za odwagę. I jeśli to ma być kierunek, w którym zmierza Teatr Telewizji, to nie potrzebujemy już żadnych potopów. Wystarczy to, co mamy – powolne, ale konsekwentne zalewanie bylejąkością, która udaje sztukę i jeszcze domaga się za to oklasków.

To nie pierwszy raz, kiedy Teatr Telewizji wkracza na drogę, z której w przyszłości będzie bardzo trudno zejść...